

mnie pan ratować, a więc uwolnij mnie pan zaraz.
— Jeszcze nie. Musisz mi pan dopomódz do odszukania winnego.

— I cóż mam uczynić?

— Pójdzie pan ze mną do domu, w którym zbrodnia dokonana została.

Steward powstał. Zdziwienie jego było tak wielkie, iż nie przyszło mu na myśl zapytać detektywa, jakim sposobem został nagle przewieziony z więzienia do tego nieznanego domu.

— I w jakim celu chce mnie pan tam zaprowadzić? — zapytał z lekkim drżeniem w głosie.

— Dowie się pan za chwilę. Więc się pan zgadzasz iść ze mną?

— Nie — odpowiedział ostro więzień.

Od chwili już Jaime nie spuszczał oka ze swego towarzysza. Pod tym uporeczywym i przenikliwym wzrokiem, twarz porucznika mienić się zaczęła i jakby pociągnięta niewidzialną a tajemniczą siłą, głowa jego coraz to niżej ku detektywowi słać się poczęła. Nagle poruszył ciężko ramionami, jakgdyby chciał zrzucić z siebie jakiś ciężar gniotący go, a na twarzy jego odbiły się pomieszanie i trwoga. Po chwili powieki jego drgnęły kilka razy nerwowo, a całe ciało jego wyprężyło się gwałtownie. Porucznik Steward zasypiał. Detektyw Jaime zbliżył się do niego i delikatnie ręką przesunął mu po oczach. Nagle Steward powstał i nerwowo zaczął przebiegać pokój. Detektyw Jaime stanął przed nim i bystro spojrzał mu w oczy. Uśpiony stanął, twarz jego przybrała zwyczajny wyraz, tylko w oczach jego zasnutych mgłą, widniał dawny lęk i pomieszanie. Detektyw postąpił ku drzwiom, więzień ulegle poszedł za nim. Jaime otworzył drzwi i wyszedł. Steward również podążył w jego kierunku. Przed domem stali obydwa ajenci, którzy nieznacznie przyłączyli się do idących. Wszyscy skierowali swe kroki w stronę Białego domu. W cieniu wielkiego drzewa Jaime dostrzegł Larpenteura; przywołał go gwizdnięciem.

— Czy wszystko gotowe? — zapytał przyciszonym głosem.

— Tak jest panie!

— Każ dobrze strzedz drogi, wiedzącej od Czerwonego Stawu.

Ajenciem wydał natychmiast żandarom stosowny rozkaz, a Jaime skierował się ku oberży starego Ullmana. Przed samymi drzwiami zatrzymał się i wstrzymał również ręką idącego ciagle za nim w uśpieniu Stewarda.

— Posłuchaj mnie pan — rzekł wyraźnym i donośnym głosem. Dwunastego czerwca o tej samej godzinie znajdowałeś się pan tutaj. Wszedłeś pan do oberży pod Złotem Strzemiemieniem w towarzystwie starego Klemensa Gibier, wypiliście parę szklanek wina, poczem pan wyszedłeś sam. W lasku, niedaleko Czerwonego Stawu, spotkałeś pan służącą Żanettę, rzuciłeś się na nią, udusiłeś i zawlokłeś w trzęsawisko... Potem udałeś się do mieszkania pani de Trèves. Nieszczęśliwą tę kobietę zastałeś leżącą w łóżku; skorzystałeś z jej snu i bezbronności i w okrutny sposób zamordowałeś ją kilkakrotnie pchnięciem noża. Czy rozumiesz mnie pan?

— Rozumiem — odpowiedział Steward.

— A więc rozkazuję ci uczynić raz jeszcze to samo, czego się wtedy dopuściłeś.

— Steward, który jak się okazuje, był szczególnie podatny i wrażliwym medyum, pod silnym wpływem detektywa utracił stopniowo świadomość rzeczy i woli. Bez wahania się, jak automat, wypełnił jego rozkaz. Pewnym i śmiałym krokiem podszedł do stolika, przy którym usiadł. Na rozkaz Larpenteur usiadł naprzeciw niego, a mały Lorient przyniósł butelkę wina i dwa kieliszki, które postawił przed siedzącymi. Jaime śledził bacznie każdy ruch więźnia. Dostrzegł, jak tenże wsunął rękę do kieszeni i uczynił ruch, jak gdyby coś z niej wyjmował, poczem ów przedmiot wrzucił ostrożnie do szklanki swego towarzysza. Po ustach detektywa przebiegł triumfujący uśmiech. Steward zdradzał się nieświadomie. Po chwili uczynił ruch, symulujący płacenie, poczem

skierował się ku wyjściu. Jaime i Larpenteur pośpieszyli za nim. Porucznik Steward szedł drogą do Chatenay i skierował się na ścieżkę, wiedzącą do Czerwonego Stawu. Znalazłszy się na brzegu lasku, przeskoczył duży rów, napełniony wodą, i skrył się w cieniu dużego dęba. Po chwili wychylił głowę, jak gdyby nad słuchując. Upłynęła chwila straszna dla świadków tej sceny. Nagle nędznik jednym susem znalazł się na drodze i uczynił ruch, jak gdyby kogoś chwycił pod gardło. Dzikie okrzyki wydobywały się z jego piersi. Po chwili zadyszany i zmęczony włókł swój imaginacyjny ciężar ku rdzawym wodom trzęsawiska. Detektyw i jego pomocnik biegli za nim i ukryci za drzewami, śledzili dalej ruchy uśpionego. Zafatwiony się z mniemanym trupem, Steward szybkim, nierównym krokiem udał się do drugiej ofiary. Na progu domu zatrzymał się i zawahał, lecz po chwili wszedł do środka i stoczył krótką, zaciętą walkę z zagrządzającym mu drogę jakimś niewidzialnym stworzeniem, poczem szybko pobiegł na górne piętro.



»Nagle straszny okrzyk wydarł się z jego piersi, dziki, wstrząsający.....

Przed oczami detektywa rozwijała się stopniowo cała akcja popełnionej przez Stewarda podwójnego morderstwa. Detektyw wiedział teraz, że nędznik zamordował Żanettę w celu wykradzenia jej z kieszeni kluczy od mieszkania pani de Trèves. Po drodze zaś zadusił wiernego jej psa Tygrysa, a teraz nastąpić miała ostatnia decydująca scena. Lecz w chwili, gdy nędznik miał już przestąpić próg sypialni swojej nieszczęśliwej ofiary, Jaime schwycił go za ramię i gwizdnął na żandarów. Pokój ów przedstawiał straszny widok; na rozburzonym, pokrwawionym łóżku leżała śmiertelnie blada kobieta; elektryczna lampka, zawieszona nad łóżkiem, oświeślała ten wstrząsający obraz, przygotowany wcześniej z rozkazu ajenta. Reszta pokoju tonęła w zmroku. Detektyw Jaime podszedł ze Stewardem do łóżka.

— Obudź się — rozkazał.

Po twarzy uśpionego przebiegł skurecz; ręką potarł silnie czoło, poruszył powiekami i spojrzał przed siebie. Nagle straszny okrzyk wydarł się z jego piersi, dziki, wstrząsający okrzyk ginącego dzikiego zwierza. Dostrzegł on kobietę, leżącą na łóżku. Nagłym ruchem nsiłował się cofnąć; oczy jego rozszerzone, błędnym spojrzeniem obejmowały

otoczenie, a w kątach ust skrzywionych ukazała się biała piana. W tej samej chwili detektyw Jaime, który się był na chwilę usunął w cień, podszedł do nędznika w asystencji dwóch żandarów. Steward jęknął głucho i składając błagalnie ręce, upadł na kolana.

ROZDZIAŁ XXII.

Koniec zdrajcy.

Tego samego roku 25 grudnia, w niedzielę, jakiś starzec podążył drogą do Orleanu. Było to wczesną bardzo godziną; w nocy spadł śnieg obfity i cała okolica, jak tylko okiem dojrzeć było można, była pokryta puszystym białym dywanem.

Starzec szedł wolnym krokiem, rozglądając się wokoło. Na twarzy jego wyniszczonej, jaśniał wyraz głębokiego zadowolenia i radości.

Godzina siódma biła na ratuszowym zegarze, gdy podróżny zagłębił się w pierwszą ulicę w Bourglu Reine. Przed jednym z domów stał robotnik z narzędziami, przewieszonymi przez ramię.

Starzec podszedł do niego.

— Czy nie mógłbyś mi powiedzieć przyjacielu, w której stronie mieszka pani Verdier — zapytał u przejmie.

— Pani Verdier? Idźcie prosto, tą drogą, aż do ulicy Houdan. Zaraz po lewej stronie zobaczycie duży ładny dom ze złoconą bramą.

Starzec podziękował i poszedł dalej.

Po chwili stanął przed wskazanym domem. Na odgłos dzwonka zjawili się służący w liberyi.

— Czy tu mieszka pani Verdier? — zapytał podróżny.

— Tak jest. A czego wy od niej chcecie? — odparł służący, mierzając niechętnym okiem nędzną odzież przybysza.

— To nie z panią Verdier chciałyby się widzieć, lecz z panną Henryettą Gibier, która u niej pracuje.

— Panna Henryetta śpi jeszcze, a o tak wczesnej godzinie nie puszczamy nikogo do domu. Powróćcie trochę później.

Mówiąc to służący zamierzał już drzwi zamknąć, gdy w tej samej chwili młoda kobieta w porannej toalecie ukazała się na werandzie.

Na jej widok starzec drgnął silnie, odepchnął jednym ruchem zagrządzającego mu przejście lokaja i podbiegł szybko ku domowi.

— Henryetto! Henryetto! moje dziecko! — wołał wzruszonym, przerywanym głosem.

Henryetta Gibier odwróciła się; okrzyk szalonej radości wybiegł z jej piersi. Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby ją nie były podtrzymały drżące ramiona starca. Po chwili Klemens Gibier, wyczerpany wzruszeniem i zmęczeniem, trzymając ciągle córkę swoją w ramionach, usiadł bezwładnie na kamiennej ławeczce.

Długą chwilę trwało radosne, wzruszające milczenie. Grube, ciężkie łzy biegiły po bladej twarzy starego ogrodnika.

— Dlaczego nie przedzieliłeś mnie ojciec o swoim przybyciu — rzekła wkońcu młoda dziewczyna. Byłabym pobiegła na twoje spotkanie. Zrobiłeś mi przykrość — dodała z wyrzutem, pieszcząc bladą ręką pomarszczoną twarz oca.

— Nie gniewaj się na mnie Henryetto — odpowiedział starzec łagodnie. Miałem wyjść stamtąd dopiero jutro. Ten zacny sędzia p. Davricourt, uwolnił mnie wcześniej. Już wczoraj wieczorem opuściłem więzienie.

— Wczoraj? I dlaczego ojciec nie przyszedł tu zaraz.

— Była już późna godzina. Obawiałem się wywołać niezadowolenie twojej nowej pani.

— Ona jest taka dobra. Pielęgnowała mnie i matkę Piotra tak, jak gdybyśmy należały do rodziny. Dawna moja pani, nieszczęśliwa kreolka Ludmiła, która rozchorowała się śmiertelnie, poleciła mnie pani Verdier.

— A jakże się ma teraz pani Ducret? — zapytał Klemens Gibier.

(Dokończenie nastąpi).